

## **Wyborcza kwadratura koła**

Na szczęście czytelników „Naszej Polski” nie trzeba przekonywać (choćby tylko czytali tę ostatnią stronę), który z dwóch kandydatów na urząd prezydenta bardziej zasługuje na zwycięstwo 4 lipca 2010 roku, jako człowiek i jako polityk. Największy problem jest z tymi, którzy nienawidzą polityki i w ogóle nie chodzą na wybory. Mówią, że nie widzą żadnego związku między ich osobistym życiem a polityką i wyborami. Jest to prawie połowa z 30 milionów obywateli Polski uprawnionych do głosowania. Ta potężna grupa nie jest zbyt znana socjologom, gdyż docierający do niej ankieterzy traktowani są jako emisariusze tego znienawidzonego, wypełnionego oszustwem, politycznego świata. Dlatego nie próbują przebić się przez mur niechęci czy nawet wrogości, jaką ta wielomilionowa grupa prezentuje w stosunku do polityków nazywanych przez nich najczęściej złodziejami. Dlaczego zatem nie chcą głosować na Jarosława Kaczyńskiego, który na polityce się nie dorobił, a jego osobisty majątek świadczy o tym, że był i pozostał nadal skromnym człowiekiem? W przeciwieństwie do Andrzeja Olechowskiego, który własny majątek wycenił na 17 milionów złotych, po czym wystąpił z kompletnie nieudaną kampanią wyborczą pod hasłem „wybierz swój dobrobyt”. Niewielu dało się przekonać, że głosując na niego, można się dorobić takiego majątku.

Wybory wygrywają ci kandydaci, którzy mają zdyscyplinowany elektorat, a jest nim zwykle taka grupa ludzi, która wiąże

bieżące lub przyszłe korzyści ze zwycięstwem swojej partii politycznej lub jej szefa, tak jak to się dzieje teraz w wyborach prezydenckich. Nie jest to jednak jakaś żelazna zasada, gdyż porażka wyborcza Waldemara Pawlaka może wskazywać, że być może głosowała na niego jedynie 100-tysięczna rzesza strażaków. A gdzie reszta rolników utożsamiających się z jedyną partią wiejskiego establishmentu, czyli PSL-em?

Czasami próby zagospodarowania tej izolującej się przed polityką i głosowaniem grupy udawały się, choć były to krótkie i burzliwe okresy. Na przykład Andrzejowi Lepperowi, który w swojej poprzedniej kampanii do sejmu przekonywał, że nie wolno głosować na tych, którzy już rządzą, bo to złodzieje. Ale prawdziwym „ojcem” Samoobrony nie był Lepper, tylko geniusz ekonomii Leszek Balcerowicz, który tak docisnął podatkami rolników, że nie mogli spłacić kredytów, a wówczas pojawił się Lepper i niezadowolenie przemienił w ponad 2-milionowy ruch polityczny. Dziś Lepper był jedynym z kandydatów za IV RP, ale głupio mówił, gdy dodawał, że jest przeciwko Jarosławowi Kaczyńskiemu. Hasło IV RP rzucił Paweł Śpiewak z PO, a Kaczyński to podtrzymał i dał Lepperowi i Samoobronie możliwość rządzenia. Tylko PiS nie patrzył na Samoobronę z pogardą.

W tej kampanii prezydenckiej, podobną retorykę, co dawniej Lepper, przyjął Janusz Korwin-Mikke („w normalnym kraju żyje się za swoje pieniądze, a nie za cudze”) i o dziwo zajął w

pierwszej turze czwarte miejsce (2.48% głosów), co się przekłada na prawie 400 tysięcy głosów.

Jeżeli zsumujemy liczące grubo ponad 100 tysięcy grupy nauczycieli szkół i uczelni, administracji państwowej, samorządowej, wojska, policji, straży, itd., itp., to mamy ponad 4-milionową armię ludzi utrzymujących się z budżetu. Do tej grupy możemy dodać (także z budżetówki) prawie 100-tysięczną brać leśników i myśliwych, tak bliskich Bronisławowi Komorowskiemu. Chociaż, jak doniosły media, niektórzy z nich obrazili się na marszałka, gdy pod wpływem ekologów zapowiedział zamianę flinty na aparat fotograficzny.

Z pewnością zagłosują na marszałka osadzeni w więzieniach i aresztach. To też prawie 100 tysięcy ludzi doskonale pamiętających, że to PiS, a nie PO, zabiegało o zaostrenie kar dla przestępców. Mógł też marszałek, i to bez większego ryzyka, spotkać się z grupą matek oczekujących na dziecko z próbowki, gdyż jako katolik posoborowy, jak się wyraził, ogłosił, że jest za in vitro. Nim się zorientują duchowni z jakiej dubeltówki w nich strzelił, i organizacje pro-live, będzie już po wyborach, a parę głosów z lewicy przepłynie w ten sposób na Komorowskiego.

A wracając do tych prawie 14 milionów Polaków obojętnych na efekty głosowania we własnym kraju. Otóż, żeby ich podejście do wyborów zmienić, potrzebny jest w Polsce taki system sprawowania rządów, który by za swój główny cel postawił podniesienie ogólnego dobrobytu społeczeństwa. Prof. Wincenty

Lutosławski mówił wprost - dobry rząd jest podstawowym warunkiem powszechnego dobrobytu. Dlatego ludzie, których wybieramy do parlamentu, rządu i na funkcję prezydenta, muszą posiadać najwyższe moralne i umysłowe kwalifikacje. I tu koło się zamyka.

**Wojciech Reszczyński**

203Nasza Polska 29.06.2010